



JANUSZ A. WŁODARCZYK

OBECNOŚĆ
ARCHITEKTURY

OBECNOŚĆ ARCHITEKTURY

Bożenie: żonie – przyjacielowi niezawodnemu

Wyższa Szkoła Techniczna W Katowicach

Janusz Andrzej **Włodarczyk**

OBECNOŚĆ ARCHITEKTURY



Katowice 2013

Spis rozdziałów

Wprowadzenie.....	7
I. Obecność i nieobecność architektury	13
1. Architektura PRL-u: czy tylko <i>blokowisko</i>	15
2. O odświętności i codzienności, a także: czy architektura mieści się w sferze sztuki?	43
3. O trwałości architektury	57
4. Moje zdejmowanie architektury	69
5. Traktat o arch-pisaniu	79
6. O dośrodkowości i odśrodkowości architektury	99
7. O kiczu – raz jeszcze	109
8. Refleksje nad architekturą końca XX wieku	119
9. Detal w architekturze: fragment budynku, a może i fragment przestrzeni urbanistycznej?	139
10. Tychów <i>życie po życiu</i> a miasto modernistyczne w III tysiącleciu?	151
II. W klimacie archinotatnikowym	179
11. Świder i Podkowa Leśna, czyli Podmiejskie/Letniskowe	181
12. Kanada, czyli Północne, północno-amerykańskie	193
13. Lanckorona, czyli Muzyczne	207
14. Cmentarze, czyli Polskie, arcy-polskie	215
III. Ex libris	225
15. Architektura szczęścia: Alain de Botton	227
16. Myślenie architekturą: Peter Zumthor	233
Literatura – Biblioteczka Pierwszej Pomocy	239
Zestawienie ilustracji kolorowych z autorstwem współczesnych obiektów architektonicznych	253
Summary	257

[...] człowiek nie może szukać ani tego, co zna, ani tego, czego nie zna. Tego, co zna, bo zna, więc nie musi tego szukać; ani tego, czego nie zna, nie wie, bowiem, czego szukać [...] Wynika z tego, że wiedza musi polegać na przypomnieniu. [...] Odkrycie jest tylko przypomnieniem wiedzy, która utajona tkwi już w odkrywającym.¹

Teoria jest interdyscyplinarna – jest dyskursem wykraczającym poza ramy swej pierwotnej dyscypliny [...] ma charakter analityczny i spekulatywny [...] jest krytyką zdrowego rozsądku, kwestionuje pojęcia uznawane za naturalne [...] jest myśleniem o myśleniu, rozważaniem kategorii, którymi posługujemy się, by nadać czemuś sens.²

[...] moimi pierwszymi ojczyznami były książki. W mniejszym stopniu – szkoły. [...]³

Czyż nie jest, być może tak, iż rzeczy istnieją na tyle, na ile mamy świadomość ich istnienia: to, o czym nie wiemy, że istnieje – nie istnieje? Wszak, doświadczając praktyki bywa, iż czegoś takiego, jak obiektywizm – nie ma. Zakres naszej wiedzy o istnieniu czegoś jest różny, od zera do nieskończoności. Jest też zmienny, ale może zmianie nie ulegać, jeśli się tym czymś nie interesujemy i nie próbujemy określić naszego doń stosunku. Dotyczy to nie tylko kondycji naszego myślenia, lecz i odczuwania; ale, czy, gdy chodzi nam o problemy przestrzeni – wzroku, choć także, lecz i, w mniejszym zakresie słuchu (hałasy miasta), a w jeszcze mniejszym, dotyku i węchu (kontakt naszych dłoni i stóp ze ścianą i posadzką, balustradą, klamką drzwi; zapachy miasta); jest jeszcze i smak, ten piąty nasz zmysł, w tym kontekście jednak chyba o znaczeniu znikomym. Myślenie liczy się tu chyba przede wszystkim?

Obecność architektury jest postrzegana przez każdego z nas inaczej, bywa niekiedy wprost czymś skrajnie różnym. I dzieje się tak różnie w trzech grupach: u specjalistów, u miłośników-amatorów-dyletantów i u laików. Zakres, rozpiętość skali jej obecności jest więc różnaita. Jak wiemy, od kiedy próbowano określić, czym ona jest, na tak postawione pytanie do dziś nie

ma jednoznacznej odpowiedzi. Zatem, skoro przez pojęcie architektury ludzie rozumieją co innego i w skrajnym pojmowaniu dla jednego jest nią wysokiej klasy zabytek, dla drugiego cała otaczająca go materialna przestrzeń, o zrozumienie się wzajemne jest trudno, wszystko wciąż trzeba wyjaśniać od nowa. Rozważając materię zjawiska, prawda powinna być jedna na tyle, by móc mieć wspólną płaszczyznę porozumienia. Z duchem fenomenu jest już całkiem inaczej.

Obecności architektury jest w tej książce wiele, różnych, i wśród tych materialnych, i wśród duchowych. Jedne o drugie się zazębiają, pojawiając się w rozmaitych kontekstach. Mamy tu do czynienia z esejami (szkicami wszak, inaczej jeszcze – próbami), pisanymi w różnym czasie, jako autonomicznymi bytami. Pewne sytuacje czy może lepiej – konsytuacje – się powtarzają, uniknąć tego nie sposób. Także i w tej książce, jako zbiorze esejów, pisanych w różnym czasie i pod wpływem rozmaitych impulsów. Nie stoimy w miejscu, dochodzą coraz to nowe wątki, choć obracamy się wciąż w podobnych realiach, mimo upływu czasu: międzywojnie, PRL czy III Rzeczpospolita. Powtórzenia zresztą są w nas wpisane.

W naszym pisaniu – naukowym, mamy, od niedawna, słowa kluczowe – bez nich zaznaczenia nasza naukowość pełną by nie była:–), ale jest tak i w dziełach literackich, operujemy nimi na różne sposoby, dla czego mielibyśmy zawsze szukać, na siłę, wymienników, nie zawsze je znajdziemy stosownie do adekwatnego ich użycia, ale też może chodzi o co innego. Ostatnio, w kilku latach czy znacznie dłuższym czasie powtarzanie jest wprost modne, w literaturze – oddziaływanie przez powtórzenie, wracające jak mantra – słowa, zbitki słownej czy całej frazy, jak, przykładowo, w formie skrajnej u Thomasa Bernharda, nazwiska można by mnożyć, czy w muzyce – *minimal music* jest wciąż *na topie*, głównie u amerykańskich postmodernistów, jak Philip Glass, Morton Feldman czy Steve Reich; Henryk Mikołaj Górecki też nie był na zjawisko obojętny. W muzyce niższych lotów powtarzane są dwa-trzy słowa, *w-koło-macieju*, do zmęczenia – słuchacza. W życiu we wszystkim się powtarzamy, i dobrze. Chwalmy powtórzenia, byle były świadome i potrzebne, pamiętając o zachowaniu proporcji i harmonii; w czymś nas one utrwalają, utwierdzają, byle nie wpadać w rutynę. Tyle życia, ile powtórzeń: posiłków, snu, miłości, seksu, no i pracy, pracy i jej rezultatów. Ale i pisania, i czytania książek, dla jednych czy też oglądania meczów piłkarskich, dla drugich, może też czasem i dla tych samych:–). Bądźmy optymistami, tak jest zresztą wygodniej.

Obecność architektury przejawia się na wiele sposobów, występuje w rozmaitych kontekstach, też i w powtórzeniach, jakby inaczej. Szczególnym tego przykładem niech będzie architektura PRL-u: wreszcie się nią zainteresowano. Przyszła już moda na *socjalistyczne retro*, albo też przyszła refleksja w wyniku porównań z naszymi osiągnięciami przestrzennymi polskiego

neo-kapitalizmu, a może ktoś, po prostu, jeden z drugim, *poszedł-po-rozum-do-głowy*, i jak zwykle w takich razach bywa, kółko zaczęło się toczyć. Tak czy inaczej dobrze, że architektura ta zaistniała znów w naszej świadomości, że nie odcięliśmy się ze szczętem od niebylejakiego kawałka naszej historii [...]



A1. Okno w oknie. Wisni

1. O architekturze PRL-u: czy tylko *blokowisko*?

15

Poświęcam ten esej architektom tworzącym modernistyczną architekturę polską w latach 1918-1989, w ich jakże często konsekwentnych, logicznych działaniach, ale też w warunkach na ogół trudnych, na miarę – wreszcie – świadomości tworzenia architektury up to date.

Podjęty przeze mnie temat zda się obszerny, przy tym wielowarstwowy i wielopłaszczyznowy. Wymaga szerokiego tła politycznego, społecznego, gospodarczego, z pewnością też i socjologicznego, z zahaczeniem wręcz o psychologię. Trudno będzie to, niewątpliwie, wszystko zmieścić w formie eseju, problem prosiłby się o monografię, o charakterze pracy naukowo-badawczej. A mimo to, lepszą w tym miejscu formą wydaje się esej, choć rozbudowany. Z kilku powodów, też i subiektywnych.

Przed wszystkim, monografia, praca większej objętości, jawiłaby się może jako rozprawa na poziomie habilitacji – nawet nie doktorska, czyli przyczynkarska – pisana w konwencji, jak to wyżej próbuję sugerować, przy tym jako praca już historyczna, więc pisana przez historyka. Jakiego? Raczej, jak sądzę nie przez historyka sztuki, problem jest znacznie bardziej poważny, gdyż wszechstronny. Ale chyba też nie przez historyka-humanistę, z zasady nie byłby on w stanie sprostać, z całym szacunkiem, problematyce przestrzennej – architektonicznej, o jaką tu głównie chodzi. Zatem, albo trafiłby się geniusz-omnibus, o co chyba trudno, choć nie jest to niemożliwe, z pewnością tacy istnieją – albo powstałaby praca zbiorowa, a więc z konieczności pokawałkowana, co chyba byłoby jeszcze trudniejsze i w rezultacie, z pewnością, gorsze. Osobiście bardziej przekonuje mnie wariant pierwszy.

Dodałbym jeszcze powód drugi, bardziej osobisty. W wyniku licznych moich doświadczeń z pisanem tekstów z zakresu teorii architektury, w tym wielu książek, uznaję tutaj esej, jako formę wypowiedzi najbardziej do podjętego tematu adekwatną. Zobowiązuje ona do większej dyscypliny, można bowiem mówić o określonym *optimum* w pisaniu, w którym zarówno piszący, jak i czytający dobrze koncentrują się na problemie i jego percepcji. Forma skończonej całości budzi u mnie tu poważne zastrzeżenia; wielokrotnie dawałem temu wyraz, podążając za myślą Benjamina i Adorna, iż *całość jest*

nieprawdą, tym bardziej, że architektura PRL-u nie jest tak *do końca* historią. Istnieje w nas, i to nie tylko fizycznie. Duch jej, jak i całego modernizmu z jego wzlotami i upadkami funkcjonuje w architekturze do dziś. Także i w wielu innych kontekstach. Zostańmy więc przy eseju, szkicu, próbie, przymiarce – zapewne kolejnej.

Jestem świadom, iż w szeregu poruszonych tu przeze mnie wątków około-architektonicznych, znajdujących się na architektury poboczu, ale i jej tła, nie czuję się zawsze, z pewnością, w pełni kompetentny. W porządku: to okazjonalne prawo miłośnika-dyletanta, obok roli funkcjonującego specjalisty. Myślę, że tekst ten, jeśli znajdzie zainteresowanie, może stać się podstawą do szerszych rozważań nad problemem dla autorytetów problematyki spoza sfery przestrzeni architektonicznej.

* * *

Jest niewątpliwie zasadą, iż to, co odchodzi, a zwłaszcza to, co właśnie było odeszło, zwykle jest postrzegane negatywnie. Akceptujemy bowiem na ogół to, co staje się historią, gdy upłynie już czasu na tyle dużo, by móc traktować zjawisko w kategoriach retro. Im dalej, tym piękniej. Tak jest zresztą i z modą, szeroko rozumianą, dotyczącą wszystkiego, nie tylko odzieży i naszego zewnętrznego image'u; także szeroko postrzeganych idei. Działają odczucia, brak jeszcze czasu na uruchomienie myślenia, na podsumowania, na refleksje przemyślane. Rozumowanie jest proste: świat dzielić lubimy na dobry-zły, piękny-brzydki, biały-czarny.

Biało-czarne bywało piękne: lubiła je stara architektura japońska i lubił Mondrian; faworyzował czarnobiałość architektoniczny funkcjonalizm lat 30., czerń z bielą uzupełniając chętnie beżem, nie sposób odżalować też czarno-białej fotografii i takiegoż filmu. Co innego jednak estetyka, w *życiu* bywa inaczej. Często lubimy skrajności: tak jest wygodnie, gdyż prościej, nie trzeba myśleć. Rozum śpi, harują emocje, niekontrolowane.

Mamy za sobą dwadzieścia lat i parę, jakie minęły od upadku jednego systemu polityczno-społeczno-gospodarczego i wymiany go na inny, diametralnie od poprzedniego się różniący. Prawie ćwierćwiecze, czyli więcej niż trwała II Rzeczpospolita, dla wielu wciąż jeszcze punkt odniesienia, wzorzec na kształt wzorca w Sevres. Czas życia pokolenia, wystarczający do czynienia porównań, czego uniknąć nie sposób. Można uważać, że jest to czas właściwy, aby bez emocji, a jednocześnie ze świadomością jego upływu w dokonaniach *Nowego*, móc tych porównań dokonać w przekonaniu, że jesteśmy już dostatecznie obiektywni. Odległe to już, choć jeszcze nie historia, skoro żyją ludzie tamtą historię tworzący, tkwiący w niej, jednocześnie funkcjonujący na tyle, by móc na trzeźwo rzecz oceniać.

Jeszcze nie historia? I tak, i nie. Dla mego pokolenia, dla wielu tych, którzy nią – historią, czy może lepiej: tradycją wciąż żyją jeszcze, nie jest ona historią *par excellence*. Dla mnie samego może inaczej, gdyż bardziej żyję terażniejszością i przeszłością – znacznie bardziej, choć to, co było, z tym, co jest i co będzie, jest wielce wymieszane, i tak być powinno. Natomiast, w związku z tym, co się było dokonało, nawet, jeśli bywało złe, nie wolno minionego półwiecza wyrzucać na śmietnik: bez sensu. Zresztą, nadchodzi właśnie czas, kiedy coraz to częściej odkrywamy pozytywy PRL-u, w tym miejscu mówimy o problemach naszej przestrzeni; czyżby, zatem nadszedł już czas na retro? Nic nie jest, bowiem, ani do końca złe, ani do końca dobre, liczą się zawsze proporcje i to, co pomiędzy. Spróbujmy i na architekturę czasów PRL-u spojrzeć w taki sposób.

* * *

Wróćmy do tytułu: *blokowisko*. Rdzeń wyrazu, termin *blok* zastąpił tu obojętne w odbiorze, całkiem przyzwoite określenie – budynek. Czemu? Niewątpliwie ze względu na swój, powszechnie występujący prostopadłościenny kształt – choć przecież nie jedynie występujący – jako skojarzenie z blokiem kamiennym, może blokiem czekolady (występująca dawniej forma cukiernicza), na przykład :-), bądź czymś w kształcie podobnym, prostopadłościaniem właśnie. Wcześniej w nazewnictwie sfery architektury istniało pojęcie bloku urbanistycznego, czyli inne określenie kwartału zabudowy geometrycznej, prostokątnej z zasady siatki ulic, charakterystycznej dla urbanistyki sprzed modernizmu, czyli miast naszej kultury, kilka tysięcy lat trwającej. Pojęcie to z natury logiki modernizmu przestało obowiązywać. Tak czy inaczej przejęła je architektura skali większej, czyli budynek. Można by rzec: *jak się znał, tak się znał...* Faktycznie, lepszego, satysfakcjonującego odpowiednika brak. Rzecz w tym, że *blokowisko* jest określeniem o naznaczeniu pejoratywnym. Skąd się takie wzięło? A stąd, że jakość wykonawstwa budowlanego w PRL-u permanentnie ulegała obniżaniu i zbrzydzeniu. Należy rozumieć tu nikły asortyment materiałów budowlanych, kiepską robociznę i ulegający deprecjacji warsztat zawodów budowlanych w wyniku niekontrolowanych działań – zbyt szybkich, nieprzystających do reguł i zasad, efektywnych, choć stanowiących nieefektywne „wyrabianie normy” (jedno z peerelowskich określeń), jako wyraz działań politycznych i propagandowych. Można zamknąć to podsumowaniem: nadmierna „produkcja” architektury przy coraz niższym poziomie stanu gospodarki państwa. Dodać można jeszcze przekraczającą zdrowy rozsądek skalę i wielkość budynków, także i, w jakimś stopniu, nie zawsze zadowalającą jakość projektów. Paradoks tkwi w tym, iż idee i kształt tej architektury były z gruntu modernistyczne, oparte na wzorach krajów zachodnich, kapitalistycz-

nych i demokratycznych, które to wzory potrafiły się sprawdzać i nowe miasta czy osiedla zachodnie, nijak, z zasady, nie pasowały do tak negatywnego ich określania. Równie dobrze można by też odnieść to do naszych przedwojennych osiedli, a także nawet i do znacznej (jak to zmierzyć?, to zadanie dla naszych naukowych mrówek) części osiedli peerelowskich. Polscy architekci międzywojnia jak również pokolenia studiującego tuż przed wojną i zaraz po niej, reprezentowali wysoki poziom warsztatu, projekty osiedli mieszkaniowych autorstwa wielu z nich stały na wysokim poziomie jakościowym; godzi się wymienić przynajmniej nazwiska takie jak Barbara i Stanisław Brukalscy, Helena i Szymon Syrkusowie, Bohdan Lachert, Zofia i Oskar Hansenowie czy nieco młodszy, czasem niemal o pokolenie, jak Maria i Kazimierz Piechotkowie, Jacek Nowicki, Halina Skibniewska czy trzech partnerów w osobach: Wacław Kłyszewski, Jerzy Mokrzyński, Eugeniusz Wierzbicki, czyli „Tygrysy”; wszystkich zasługujących na to wymienić tu nie sposób.

Innym słowem symbolizującym negatywne naznaczenie, które przewijało się w ocenie architektury peerelowskiej, jest beton. *Betonowe dziedzictwo*¹. Dziwne to; cóż, zaskakujące, mogą tak mówić laicy. Dla architekta pojęcie tego tworzywa wiąże się zwykle z osiągnięciami nowoczesnej architektury, modernizmu, materiału, dzięki któremu wielu architektów nadało architekturze szlachetną formę: Le Corbusier, Louis Kahn i jego głównie: *beton brut*, Oscar Niemeyer, a i katowicki, unieczystwiony dopiero co dworzec kolejowy, autorstwa „Tygrysów”. Tak jest i dzisiaj. Czyż byśmy marzyli o powrocie do glinobitki?

Blokowisko, językowy przykład jakże częstej nieprzystawalności neologizmów do pojawiających się zjawisk – nowych, bądź zdających się nowymi. Jakże często raz błędna i nonsensowna nazwa, gdy już przyłgnie, przyklei się do nazwanego podmiotu – trwa i nie ma szans na jej zmianę. *Blokowisko* to jednak tylko niewielki fragment problemu, zresztą zaistniały niemal u schyłku autorytarnej ustroju – *socjalitaryzmu*, jakby przyczynek do wielkiego zjawiska, tu – przestrzennego, trwającego wszak prawie pół wieku.

* * *

Sprawy architektury czasu po II wojnie światowej, lat 1945-1989 w Polsce, nurtowały mnie od dawna. W moich rozważaniach, zawartych w książkach i tekstach rozmaitych, problemy te pojawiały się przelotnie, osadzone w adekwatnych do potrzeb doraźnych kontekstach. Trudno sobie wyobrazić, by, drążąc od lat teorię architektury pomijając tak istotny okres jej najnowszej historii. Jednak, jak nadmieniałem już na wstępie, także i ja musiałem być chyba dojrzeć do momentu, kiedy to można mieć już do sprawy stosowny dystans i dokonać jakiejś formy podsumowania. Zwłaszcza, skoro upłynęła była od-

powiednio długa część mego architektonicznego życia, od rozpoczęcia studiów w 1952 po rok 1989, czyli koniec PRL-u. Niewątpliwym wzmocnieniem decyzji podjęcia tematu był z pewnością trzydziestoletni mój udział w pracy nad tworzeniem miasta od nowa – Tychów. Temat, jako więc niemal pół wieku w życiu Polaków obecny, nadający się, na książkę o Tychach osobną².

Biorąc pod uwagę przyspieszenie, jakiego nabierało nasze życie w wieku XX – dalej go przybierając – tak długi okres fenomenowi nie mógł być monolitem. Funkcjonowanie kraju w określonej formacji ustrojowej zależało od okresowej, zmiennej kondycji państwa w rozmaitych sferach: politycznej, gospodarczej, społecznej i jeszcze kilku innych. Przy stałej zależności od obcego mocarstwa, przy ograniczonej suwerenności, ale i przy stosunku do tego naszej władzy – jakby nie było, państwo polskie istniało – jakość życia charakteryzowało falowanie: gorzej-lepiej w każdej z tych sfer, z istotnym wpływem na otaczającą nas przestrzeń – architekturę. Jej obraz, jakkolwiek zwykle tego nie postrzegamy, gdyż nie potrafimy, jest to jakby poza naszą świadomością, musiał być adekwatny do warunków życia, wszak żyjemy w określonych przestrzeniach i, faktycznie, ta nasza architektura, doskonale stan naszego życia rejestruje i odzwierciedla.

Zatem, odpowiednio, jak życie w Polsce peerelowskiej, architekturę tych czasów podzielić można na kilka okresów. Tak będzie najprościej, by w stosunkowo niewielkim tekście ująć sens fenomenu, bez nadmiernego wchodzenia w szczegóły.

Truizmem jest, iż architektura, zgodnie z moim postrzeganiem zjawiska, jako cała otaczająca nas przestrzeń, jest odbiciem aktualnie funkcjonującego systemu polityczno-społeczno-gospodarczego, a mówiąc prościej: jest taka, jakie są rządy w kraju, jak kto i jak nim rządzi. Nie inaczej przedstawiała się sprawa z PRL-em, okresem trwającym niemal półwiecze. Półwiecze, bagatela, w naszych czasach to epoka, to dwa pełne pokolenia, czyli czas, w jakim pół wieku wcześniej zmieściły się dwie światowe wojny unicestwiającej miliony istnień ludzkich, z *bonusem* w postaci hańby holokaustu plus *auschwitze* i gułagi, a wcześniej rewolucja sowiecka, która *wstrząsnęła światem*³; z międzywojnem, owocującym jednocześnie eksplozją rozwoju nauki i modernistycznej sztuki. W drugim półwieczu, gdy Zachód leczył rany, by dość szybko rozkwitać kulturowo i cywilizacyjnie, my, wraz z kilkoma krajami Europy wschodniej wlekiśmy się w ogonie *naszej małej stabilizacji*; także i w sferze architektury, oczywiście.

Peerelowski socjalizm z nazwy, faktycznie system totalitarny ewoluujący w autorytarny, z pasującym do niego, w moim rozumieniu sprawy określeniem: *socjalitarny*, jak z tego zdania już wynika, nie był monolitem i zmieniał się w miarę zmian w polityce światowej. Tak też zmieniała się i architektura. Spróbujmy przyrzeć się im bliżej. [...]